

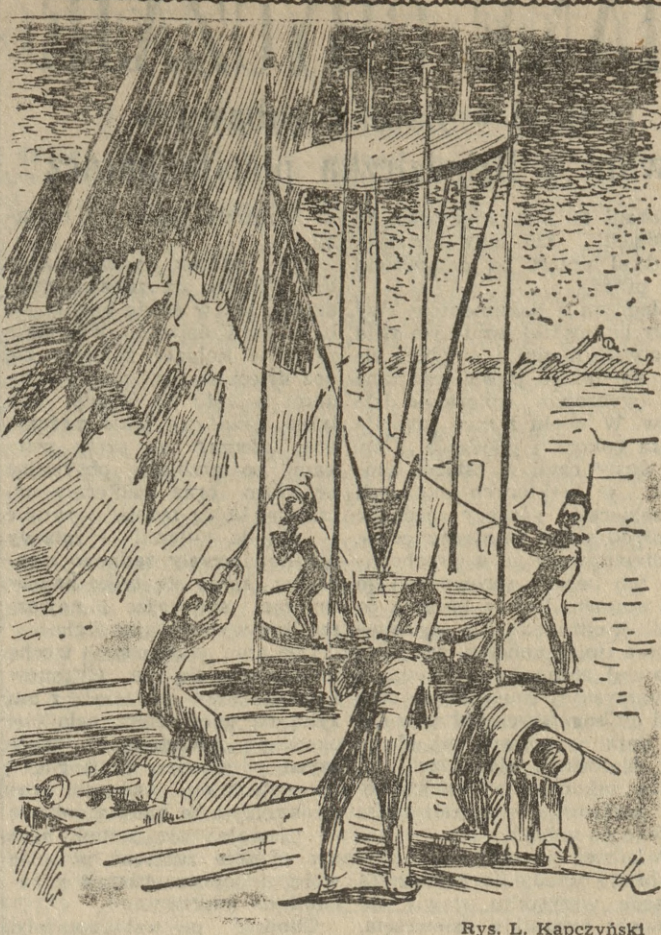
Zgodnie z pragnieniem naszych Czytelników

Trzy tygodnie temu drukowaliśmy początek powieści fantastycznej poznańskiego literata — EUGENIUSZA MORSKIEGO. Zwróciliśmy się wówczas do Czytelników z prośbą, by wyrazili swą opinię na temat ewentualnego druku całej powieści na łamach naszego piśma. Otrzymaaliśmy bardzo wiele listów. Czujemy się w obowiązku zakomunikować, że z drukowaniem powieści zgodził się 94 proc. czytelników, a tylko 6 proc. stanowczo nam ten zamysł odradzało. Oczywiście, spełniamy wolę większości.

Najczęstszą motywacją za drukiem powieści było stwierdzenie, że beletrystyka fantastyczna publikuje się jeszcze o wiele za mało. Czytelnicy zwracali również uwagę na fakt, że problem ten zajmuje ich szczególnie dlatego — iż nie długo wyprawy międzyplanetarne staną się już faktem.

W dzisiejszym numerze „Nowego Świata” czytelnicy znajdą na ostatniej stronie drugi odcinek powieści, noszącej tytuł: „NA SZLAKACH KOMET”. Na stopnie odcinki będą się ukazywać co tydzień w dodatku niedzielnym.

Nazwiska uczestników ankiet, którzy wylosowali premie książkowe, podamy w najbliższym numerze.



Rys. L. Kapczyński

Przemysław Bystrzycki

DYSKUSJI CIĄG DALSZY

Mimo że ekspozycja odwodnej grupy „AF+R” wzbudziła uczucia nieutulonego żalu z powodu intelektualnego ubóstwa większości pozycji, mimo że wariant rzekomego „kompleksu nowoczesności”, pokazany przy al. Marcinkowskiego, traci anachronizmem, jest ten przegląd tajonych długo tęsknot grupy dogodnym punktem wyjścia dla kilku analiz o różnych przekrojach i kierunkach. I w tym, sądzę, mieści się sens pozytywny owej wystawy.

Dyskutować bowiem możemy z wielką słusnością nad zubożeniem naszego smaku estetycznego, nie tylko w skali poznańskiej, mojemu rozstrzygać, jakie podjęty działają na ospały w wielu dziedzinach i skłócony kulturalny światek miejscowy, znajdując w tej wystawie sposobną odszkodować na inne dziedziny sztuki, do czego zachęca zresztą redakcyjny artykuł w ostatnim nr-ze „N. Świata”, nie we wszystkim co prawda słuszny.

Problemy literatury poruszone poniżej są powierzchownym szkicem olbrzymiego zespołu zagadnień, powstających coraz wyraźniej przed współczesnym pisarzem. Od rozwiązania ich zależeć będzie jakość rezultatów niełatwego trudu poszukiwań w pięknym słowie pisanym za kształtem tego, co bijemy się dzisiaj, aby zaowocowało w przyszłości.

Temat jest nadal kopciuszkim

Czytelnika polskiego o średnim odczuciu, lecz o sercu czującym i o wyostrowanym zmysle obserwacji uderza w naszym piśmstwie — temat!

Temat utworu, ogólny wykładnik zainteresowań pisarskich zwięzł się w praktyce lat ubiegłych do prób socjologicznych wyjaśnień zagadnień współczesności. Prób opartych na wąskim, jednostronnym pojmowaniu filozofii i roli sztuki w społeczeństwie budującym socjalizm. Czyli nieudolnych, czyli fałszywych. Bohaterem kreowaną nieledwie dniówkę obrachunkową, częściej cykl produkcyjny zakładu lub wytwórczą sprawność narzędzia produkcji (Żesławski „Mirów ruszył”, Wilczek „Nr 16 produkuje” i in.). Zaznaczymy na marginesie rozważań, iż powiew schematyzmu przeszedł jak tajfun przez europejskie piśmstwo postępowe czyniąc poważne szkody w bliskim nam froncie ideowym... (Włoski wariant upraszczający rzeczywistość i ubogi we właściwości poznawcze sprawdził na S. Michelliego „Całej prawdzie”). Te podejrzane literackie sukcesy — dogmatystom do sztabu. Ostatecznie jednak wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za apenińskich, angielskich czy australijskich kolegów, ponieważ właśnie w naszych warunkach można było wyjść z postulatami realizmu socjalistycznego, ponieważ właśnie nasze próby rozwiązań patronowały im jako kierunek i cel ideowo-artystycznego natarcia.

To prawda, iż obecnie podejmuje trudny rozrachunek za lata ubiegłe. Nadzieje uniesione z okresu kłes operarny na kilku przesłankach. Po pierw-

sze — stale radujące osiągnięcia szczytowe okresu („Pamiętka z Celulozy”, niedoceniony i zapomniany już prawie „Bieg do Fragała”). Po wtóre — książki drugiego „rzutu” niepokojące, bijące na alarm — Kuśmerek, lub sprawne warsztatowo, odkrywcze i ambitne „Lewanty” Brauna. Lecz i inkriminowany, produkcyjny typ piśmstwa jest godny uwagi. Wiemy o szkodach jakie wyrządził, mało jednak zastanawiamy się nad minimalistyczną co prawda teorią użyteczności, zawartą w przysłowiu: Nie ma zleżo, co by na dobre nie wyszło”. Mówią: mierzwa pod przysię, stale oczekiwane sukcesy. Mówią: wielkie duchy literatury odleciały od nas — przepadło polskie piśmstwo. Mówią: tradycje macie na ustach, a spod piór wypuszczacie ilustracyki nie obchodzące nikogo, bo i bez tego każdy rozsądny zna szarość naszego życia i odczuwa inwazję codzienności w sprawy najbardziej nawet intymne.

Te względy częściowo tylko słuszne tracą ciężar dowodu, jeśli zastanowimy się nad nauką płynącą z tych doświadczeń. Ubogość literackiej wizji Żesławskiego pozwoliła dostrzec błędy, wywołała gorące sprzeciw. Wytoczono boje, głosy protestu nabrały mocy i rozpoczęły formowanie okresu, który popularnie, acz niezbyt szczęśliwie, nazywamy „odwilżą”. Nie nazywajmy tych książek „knotami schematyzmu” jak chce redakcyjny artykuł „N. Świata”, ponieważ gdyby nie one, kto wie czybyśmy dzisiaj mogli mówić w sposób tak śmiały... A zatem i tu kryją się pewne pozytywne, stanowiące trzecią przesłankę, wynikłą z rozrachunków z przeszłością.

Tym niemniej temat żąda przewietrzenia. Pamiętajmy wielkie odkrycie przed niecałym bodajże rokiem w postaci literatury sensacyjnej. Wydano dwie książki A. Conan Doyle’a, zapowiedziano wybór Agaty Cristy. Amerykę odkryto w 1955 roku na nowo. Jak donoszą w NRD odywają się głosy protestu przeciwko „kryminalom”, nawet tym najlepszym. Żalose głosy z cieniów ubiegłej epoki!

Tym niemniej temat nadal żąda przewietrzenia. Krytycy, publicyści, poeci, eseści, dramatopisarze rzucili się na zagadnienia moralne i wentylują szczegóły życia erotycznego, w czym zwłaszcza celuje Krzywicki (przedostatni jej głos w „N. Kulturze”), która podniosła całą dyskusję z ziemi do bóka. A inne tematy leżą odlego.

Arkady Fiedler jest najwybitniejszym polskim pisarzem „podróźniczo - przygodowym”. Nazwiskiem o europejskiej randze, autorem czytany na obu półkulach. Czyż oczekiwać krytycznego omówienia chociaż raz jeden za lata ubiegłe w kochanej polskiej prasie kulturalnej? A chronić swój temat jak mógł przed złymi wpływami epoki Wielkiego Schematy-

sty, nie zawsze po prawdzie szczęśliwie i skutecznie (ślabsza „Wyspa Robinsona” i „Mały bizon”, ale tradycyjnie ciekawa „Gorąca wieś Ambinani-telo”).

Oferują nam w zapowiedziach wydawniczych Brunona Szulca. Osobiście rad jestem, bo prawie nie znam autora „Sklepów cynamonowych”. Ale dlaczego tak mało wzmowień „Kandy”, „Ryb”, dlaczego bodaj tylko jedno powojenne wydanie „Dywidjonu 303”. O — tu trafiamy w nowy wariant wentylacji tematu. Wstydlawie ukrywany wariant, żenujący, szkoldliwy w skutkach: temat żołnierza polskiego walczącego na Zachodzie. Nikt fabularnie nie opisał tragedii polskiej dywizji spadochronowej pod Arnheim w Holandii, jeszcze jedna w dziejach wojen rodzima szarża kawaleryjskich strategów na niemieckie czołgi. Dlaczego polski manewr pancerny w słynnym „worku” pod Falais kusi smakiem zakazanego owocu i niezdrowej egzotyki? Dlaczego Cassino, otwarcie drogi rzym-

skiej, kampania adriatycka służą za atut wrogiem nam propagandy? Bośmy odcięci od tych tematów stworzyli dogodne emocjonalne warunki dla tamtych, bo sankcjonujemy niejako tematyczny monopol Zachodu w tym względzie. Żołnierz wszędzie był się o Polskę. Ostatnia decyzja rządu PRL zachowuje mu stopnie i odznaczenia zdobyte na dalekich od kraju frontach. Dzisiaj ten żołnierz po latach błędnie odnajduje drogę do swoich. — Można mnożyć przykłady, nie mnożmy znaków zapytania.

Jest wreszcie trzeci rodzaj spraw, merytorycznie i formalnie najtrudniejszy: epicki temat współczesności. Na tym odcinku rozognia się wielka dyskusja o „przyszły” wygląd i kształt literatury. Polemistów animuje zasadnicze pytanie:

Nie tylko co — ale jak?

Doświadczenia brodatych realistów krytycznych i godne uwagi dzieła dwudziestolecia od-

(Ciąg dalszy na str. 2)

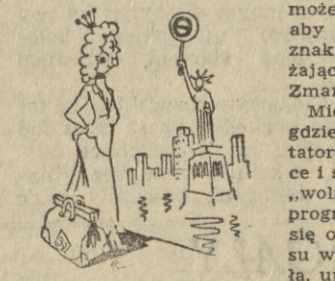
Pani Lupescu — czyli o upiększaniu

Pierwsze tygodnie 1956 roku nie przyniosły liderom „wolnego świata” szczególnie błyskotliwych sukcesów. Na odwrót — zgrzyoty jest co niemiara, bo to i wyborze zwycięstwo komunistów we Francji, i przykre, wręcz niepojęte demonstracje antyamerykańskie w Jordani, i projekt radzieckiego planu pięcioletniego... Szpalty zachodnich gazet roją się od wykrzykników, znaków zapytania i rozdzierających wielokropków. Kto wie, może nadszedł czas, aby wynaleźć nowy znak pisarski, wyrażający Bardzo Duże Zmartwienie?

Miedzy szpaltaami, gdzie najcięższe komentarze zalanują ręce i snują ponure dla „wolnego świata” prognozytyki, zdarzy się od czasu do czasu wyłonić jakąś małą, uroczą wiadomość. Ot, taką np.: Aposto! Mateusz został niedawno mianowany patronem księgowych, ponieważ ustalono, że z zawodu był inkasentem podatkowym. Albo, że pani Cornelia Vanderbilt postawiła za 12 tysięcy dolarów nowy pałacyk dla swoich psów. Zdarzy się także i sensacja, nasuwająca nieraz dość odległe skojarzenia.

Mam tu na myśli panią Magdę Helenę Lupescu, dość niedgdy znaną w Europie faworytę rumuńskiego króla Karola II. Pani Lupescu — taki sobie podległy model madame Pompadour — trzy lata temu owdowiła. Ze jednak krew nie woda, a profesja też robi swoje, pani Lupescu postanowiła się odmłodzić przy pomocy operacji plastycznej. W tym celu zwróciła się do znanego amerykańskiego chirurga, doktora Irvinga Shorella. Doktor Shorell zgodził się, naturalnie, zresztą już raz w 1944 roku (!) dokonał odpowiedniego zabiegu na jej twarzy, w wyniku czego pani Lupescu rzeczywiście wyglądała jak odmłodzony trup. Ale do zgody Shorella potrzebna była jeszcze zgoda Departamentu Stanu. W tym właśnie miejscu zaczyna się sensacja: „Departament Stanu odmówił pani Lupescu wizy wjazdowej, określając ją jako „osobę niepożądaną”.

Wyznam, że długo medytowałem nad przyczynami tej odmowy. O kontakty z komunistami chyba sam Mac Carthy nie mógłby pani Lupescu podejrzewać. O szmugiel bomb atomowych w podręcznych puderkach i sakwożach — też chyba nie. Więc co? Może ta 57-letnia kobieta wzniciłaby w Stanach jakieś niebezpieczne namiętności, czyniąc na przykład konkurencję Ricie Hayworth? Może ze względu na swój zawód stanowi „groźbę dla ustroju USA”? (Bo



NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY

DODATEK „GŁOSU”

Niedziela, 19 II 1956

Rok VII Numer 7

U progu nieprzebranego skarbcza

Etap, na którym znajduje się obecnie technika światowa, niewiele odbiega od sytuacji, którą stworzył w jednej ze swych znanych powieści Aleksander Dumas. Przypomina mianowicie ten moment, kiedy hrabia Monte Christo odszukał legendarnej wielkości skarb i stanął ośniony, w gorączkowej rozterce: który z klejnotów ogromnej ceny i wartości chwycić w pierw w rękę.

Właśnie teraz, w naszym pokoleniu, nauka oddała technice klucze do nowego, nieprzebranego skarbcza. Energia atomowa nie jest by-

Tad. Jędrzejewski

najmniej jedynym klejnotem w tym skarbcu, choć niewątpliwie największym. Prócz niej — półprzewodniki, elektronika, automatyzacja, produkcja, nowe tworzywa sztuczne itd. itd.

Ten etap, ta chwila w przededniu rewolucji w metodach i sposobach wytwarzania, daje ogromną szansę krajom takim właśnie jak nasze do niedawna zacofanym, które dzięki zmianie ustroju, dzięki temu, że rozwój techniki mogą planować, w szybkim tempie dopędzają państwa o starych tradycjach przemysłowych.

Shanse tę możemy wygrać, rzecz jasna, tylko przy zachowaniu niezbędnego warunku: jeśli zdołamy trafnie wytypować, a następnie skoncentrować poważne siły naukowe i techniczne na tych nowościach, na tych odkryciach, które mają zasadnicze znaczenie dla zrewolucjonizowania gospodarki, które w przyszłości „zrobią największą karierę”.

Czy jesteśmy dostatecznie przygotowani i zdecydowani podjąć tę szansę?

W NAJBLIŻSZEJ PIĘCIOLETCE

Wiceprzewodniczący PKPG, Mieczysław Lesz, podkreślił w jednej ze swych ostatnich wypowiedzi, iż plan pięcioletni przewiduje uruchomienie produkcji takich konstrukcji, które nie są jeszcze zaprojektowane, takich technologii, które nie są jeszcze szczegółowo opracowane, a znamy jedynie ich zasady.

Innymi słowy — nasza rozpoczęta obecnie pięcioletka zakłada w swym programie wykorzystanie techniki nie

tylko nowej ale i najnowszej, wykorzystanie najnowszych osiągnięć naukowo - badawczych.

Co nauka polska i naukowcy polscy czynią już obecnie i co zamierzają uczynić, by dotrzymać kroku temu programowi?

Na plan pierwszy wysuwa się szereg niesłychanie skomplikowanych zagadnień, związanych z wykorzystaniem energii atomowej w Polsce.

Wkrótce w naszym kraju zostanie zbudowany reaktor atomowy. Wszelkie badania jądrowe jak i przygotowania uranu, moderatora — wymagają bardzo precyzyjnych urządzeń rejestrujących i liczących cząstki elementarne, wymagają niesłychanie precyzyjnych metod analizy chemicznej itp. W ostatnich latach uczeni polscy opracowali już metody badawcze, umożliwiające wykrycie najmniejszych nawet zanieczyszczeń surowców przeznaczonych dla stosu atomowego.

Obecnie przed naukowcami naszymi stanęło zadanie opracowania do końca metod otrzymywania czystego uranu oraz oczyszczania i przetwarzania zużytego w stosie uranu. Potrafimy już otrzymywać czysty grafit, czysty fluor, wapń, wodę utlenioną — w skali laboratoryjnej. Teraz czas na opracowanie metod w skali technicznej, w skali stokrotnie i dwósetkrotnie większej.

Państwowy Instytut Telekomunikacyjny wyprodukował już przyrządy, niesłychanie pomysłowe, które doładnie liczą i rejestrują elementarne cząstki materii. Musimy jednak opracować i zbudować dalsze jeszcze aparaty wykrywające promieniowanie i liczące cząstki elementarne.

Następne zagadnienie — to pół-przewodniki.

Pojawiły się one w technice zaledwie sześć lat temu. Dziś znajdują one coraz szersze zastosowanie. Jeden z ostatnich radzieckich telewizorów np. ma już kilka lamp krystalicznych. Ogólna zaś produkcja germanu na świecie sięga dziś już setek kilogramów.

U nas Katedra Metalurgii Politechniki Warszawskiej opracowała metodę otrzymywania germanu i galu w skali półtechnicznej. Już w bieżącym roku opanujemy ten proces w skali technicznej i wyprodukujemy kilka kilogramów germanu.

Podobnie, w skali półtechnicznej potrafimy produkować lampy krystaliczne. Instytut Elektrotechniki PAN i Instytut Łączności rozpoczęły już produkcję w setkach sztuk. Tu również zadanie sprowadza się do tego, aby opanować produkcję w skali technicznej.

A automatyzacja?

W przemyśle maszynowym, obok konstrukcji nowych automatów obróbczych, zasadniczy postęp wyrazi się we wprowadzaniu całych automatycznych linii obróbczych. Jednocześnie zakresiono przed naukowcami szeroki program prac badawczych. Szczególny nacisk położony zostanie w nadchodzącej pięcioletce na badania dotyczące metod obliczeń układów regulacji samoczynnej, opracowań typowych elementów i układów regulacji oraz przekazywania na odległość pomiarów poszczególnych procesów itd. itd.

Podobnie wielki program prac badawczych i prac nad praktycznym wykorzystaniem rezultatów badań stoi przed naukowcami — technikami niektórych dziedzin chemii (tworzywa sztuczne!). Wielkie znaczenie mają dla



Wiesław GÓRNICKI

(Ciąg dalszy na str. 3)



Piękno naszego stroju ludowego urzeka nas wszystkich.
Fot. J. Kornicka

W rejonie »Kozła lubuskiego«

Wiesława Cichowicz

Piękna jest nasza Wielkopolska. Nie tylko w krajobrazie, o czym nie chcą wiedzieć poznawcy turyści, szukający uroków „za granicami” województwa. Piękna jest także w swojej pracy, w tej codziennej, a przecież pożytecznej. W swoich zwyczajach, pieśniach, tańcach, strojach, w których lud ujawnia swoje zdolności artystyczne, wreszcie w mowie i w życiu.

Zagladnijmy tam.

Polac tej ziemi ma swoją historię, swój lud i swój ogromny urok rozpościerający się hen, daleko po Wolsztyn, Miedzyrzecz. Czegoż tu nie ma dla miłośników etnografii! Stare zwyczaje i obyczaje, stara muzyka, dawne stroje. Bez kozła, siesienkarzy, mazankarzy nie obejdziesz się żadna uroczystość rodzinna czy zabawa. „Nogi same idą do tańca, gdy zagrają kozły” — mówią starsze gospodynie, które wzrosły wśród tej muzyki.

Gdzieś w polu rozlega się głos siesienek. To chłopiec na instrumencie, wiasnoremie zbudowanym, próbuje swych zdolności. Bę dzie mógł je kształcić przy równoczesnym zapoznaniu się z budową dawnych instrumentów ludowych w Zbąszyńskim Ognisku Muzycznym. Tam znajdzie sposobność rozwiniecia swoich zamiłowań muzycznych u znanego mistrza kozłarskiego — Tomasza Śliwy, który nie tylko młode pokolenie zaznajamia z umiejętnością gry na danym instrumencie, lecz również zdradza tajniki sposobu ich budowania.

FILM * FILM * FILM

Charlie Chaplin rozmawiał raz z pewną damą, która zasympyowała go potokiem pytań. Wielki artysta odpowiadał uprzejmie, choć ze wzrastającymi oznakami znużenia. Wreszcie gadatliwa dama mówi:

„Ostatnie pytanie, mistrzu: Czy pan wierzy w upiory?”

Na to Chaplin, spoglądając na nią:

„Madame, widziałem w moim życiu wiele. Cóż mi więc pozostaje, jak w nie wierzyć?”

NA PAPIERZE

Originalnej transakcji dokonana znana także u nas a-ktorka francuska — Danielle Darrieux. Zakupila mianowicie małą wysepkę, leżącą przy wybrzeżu bretońskim, której to wysepce Ludwik XI nadał przywilej bicia własnej monety i ściągania podatków. Korzystanie z tego ostatniego było- by dziś mocno kłopotliwe, jako że wysepki od dawna nie zamieszkuje — nikt.

GWIAZDA... NAUKI

Pewna amerykańska piękność — czerwonołosa Piper Laurie, odkryła niedawno nową dziedzinę... nauki. Po grafologii, chiromancji i filozofii następuje teraz — jak twierdzi „uczona” — tzw. spojrze-niologia, czyli nauka o spoj-rzeniach. Niestety, na tę nową dziedzinę „nauki” uczeni spo-glądają bez zainteresowa-nia.

ZAPOMNIANE OBYCZAJE

Podkoziółki z brukwi • Babska zabawa •
Mezcyżni aresztowani • Dziedziczka płaciła haracz

Z regionem wielkopolskim związane były stare obrzędy obchodzone szczególnie wśród ludu wiejskiego. Ze szczególnymi obrzędami i zwy-czajami byli po karczmach wiejskich obchodzone — zapu- sty. Prawie w każdej niedzie- le grała w karczmie muzyka, a starsi gospodarze i gospody- nie gadali z sobą popijając wódkę i piwo. Wszyscy którzy młodsze i zdrowe mieli no- gi tańczyli od południa aż póź- no w wieczór. Lecz najhuc- niej i najweselsiej obchodzony był ostatni tydzień zapustu, któ- rego każdy dzień zwał się tłu- sty.

W pierwszy dzień tego tygo- dnia, to jest w tłusty czwartek, wyprawiali dziewczęta pa- robkom ucztę w gościńcu, pla- cąc kosztu tego, co oni zjedli i wypili. Płacili także za mu- zykę (zwykle skrzypka i du- dziarza) za to, że parobcy

chodzili do nich wieczorem do kądzieli, tzn. gdy kończyły kądziel praść na potańcówki po pracy.

Jednym z dokumentów krzy- wdy chłopskiej, smutnym świa- dectwem niedoli i wyzysku lu- du są dawne pieśni związane ze zwyczajem zbierania dat- ków. W wielu z nich przebiega nuta pokory i poddania. I np. w tłusty czyli w ostatni wto- rek, w niektórych okolicach wybierali parobcy jednego spośród siebie za niedźwiedzia, a obwinawszy go w grochowi- ny lub pakuly oprowadzali go na sznurku i przy muzyce po- wsi. Niedźwiedź dla rozniesie- nia mieszkańców wsi wy- prawiał różne figle i skoki, a towarzyszący mu parobcy zbie- rali od bogatszych chłopów róż- ne datki w postaci: jaj, słoniny, kiełbasy i pieniędzy.

Na zakończenie wróciwszy do karczmy wyprawiali ucztę z tego co zebrali.

Młodzież z całej wsi scho- dziła się wtedy do karczmy a przede wszystkim stawić się musiały wszystkie dziewczęta, które tam w ciągu roku ucze- szczały. Przed muzyką usta- wiono stoł albo beczkę, a na niej na talerzu jakąś figurę wystygłą z rzeźby lub z dre- wna, ustrojona w piórka lub w płatki, zwaną dla dwóch rożków na głowie koziołkiem lub podkoziółkiem. Pod tę fi- gurkę rzucali na talerz po- kilka groszy wszystkie dzie- wczęta, tańcząc w pierwszą pa- rę czyli „do przodka”.

Parobcy biorąc dziewczuchy do tańca, zachęcali je w różny sposób, aby nie oszczędziły pieniędzy dla „podkoziółka”. Nieraz pokrzykiwali:

„Ma w pończosze — da po trosze”...
„Ma za pasem — da tymcza- sem...”

Spiewano też „zachęcające” do datków piosenki w takt skoczno go oberka:

Cały rozek tańcowała
Grocykowi nie nie dała
Trzeba dać!... Trzeba dać!
A kto nie da dzisiaj w nocy
nie doczeka Wielkanocy.

Trzeba dać!... Trzeba dać!
Zebrany w ten sposób pie- niedźmi, opłacali muzykę, a reszta przeznaczona była na hulankę, tj. na jedzenie i picie.

W niektórych okolicach pod koziołkiem była po prostu dre- wniana lalka ubrana po nie- miecku lub mały koziołeczek zrobiony ze szmat.

Prócz młodzieży były w karczmie i baby czyli wiejskie kobiety zamężne, które pod- czas podkoziółki w tańcu ska- kały jak która mogła najwy- żej, w przekonaniu, że len im tak wysoko urosnie, jak wy- soko podskoczą. Czasem prócz datku, jaki dziewczęta płaciły muzykantowi za taniec, nazy- wano także podkoziółkiem i sam taniec, który jednak ni- czym innym nie był tylko zwy- czajnym kujawiakiem, kolo- dziejem, starcem, wiatem itd.

Ciekawym zjawiskiem w for- mie obchodu zapust przez lud wiejski w Wielkopolsce było to, że kobiety same, bez udziału mężczyzn, urządzały sobie

w karczmie zabawę z tańca- mi.

Jak wtorek przeznaczony był głównie na zabawę mło- dzieży, tak w środę bawili się baby czyli mężatki. Wszystkie zamężne kobiety zbierały się bez dzieci w karczmie z wor- kami popiołu na kijach. Jak tylko zjawił się jakiś mężczy- zna, uderzały go zaraz wor- kami po grzbiecie obrysując popiołem oraz zabierały mu czapkę, którą musiał wykupić — ale do hulanki i zabawy nie dopuszczaly żadnego mę- żczyzny, same się tylko bawily tańcząc, śpiewając i najroz- maitsze wyprawiając figle.

Dopiero podpisawszy trochę przebrali się za Cyganów lub działoł i wyruszały z mu- zyką na wieś, którą całą ob- chodząc „aresztowały” mę- żczyzn po drodze. Ci trochę z lekceważeniem wzdrygali ra- mionami na tę babską zabawę — pozwalali się jednak bar- dzo chętnie zabierać w „nie- wolę” i ochoro ruszali z ba- bami do karczmy.

Chodząc po wsi uważały, gdzie na wsi mieszka młoda mężatka, tj. taka, która w tym roku wyszła za mąż. Wtedy kobiety brały półwozie lub taczka, a gdy był śnieg małe saneczki i urządzały na nich rodzaj karety — rozwieszając na czterech tyczkach płachtę albo chustkę, potem zaprzę- gały się cztery do tego powo- zu, reszta kobiet otaczała go w koło i razem z muzyką jecha- li po młoda mężatkę. Ta chcąc nie chcąc, bo ją w najgorszym razie siłą potrafiły wsadzić, siąść musiała na tej dziwnej karecie i jechać do karczmy. Cztery baby ją wiozły, mu- zyka grała, a reszta kompanii wyspiewywała wesoło. Przy- jeżdżawszy do karczmy, wku- pywała się młoda mężatka do grona bab garncem wódki, wi- na i piwa a potem tańczyła z drugimi i dokazywała.

Nawet młoda dziedziczka (mężatka) nie była wolna od tego wkupywania się do mę- żatek. I po nią jechali taczka przed dwór ale naturalnie nie wiozły jej do karczmy, bo mo- gła się pani w domu wykupić kilkoma markami.

Przyjeżdżawszy pod wieczór całą kampanią do karczmy, te- raz dopiero przypuszczaly ko- biety chłopów do swego towa- rzystwa i to tych wszystkich, których po drodze zaarresto- wały.

Pod koniec zabawy tancze- nej każda z kobiet brała swo- jego męża albo przyjaciela za tancznicę i tańczyła z nim o- statni taniec tak zwany „na wielki len”, w tym celu, aby jej len wysoko wzrósł, który tym będzie wyższy im baby żwawiej hulały.

Ponieważ zabawa ta przy- padała już w Popielec czyli na początek Wielkiego Postu, więc — jak czytamy u Oskara Kolberga — księża z ambon ostro występowały przeciwko temu, wskutek czego i ten zwyczaj uległ wśród ludu sto- pniowemu zanikowi.

MGR W. WRÓBLEWSKI

P. S. Opracowano na pod- stawie źródeł O. Kolberga, H. Biegeleisena, B. Stelmachow- skiej i innych.

dziwiać trzeba bujność fantazji i umiejętność zharmonizowanych układow.

Wiktoria Ślusarzewska, ponie- siona dawnymi wspomnieniami, za- pomnia o dolegliwościach reumatycz- nych, które jej zaczęły dziś doku- ezać. Namalowała mi dawny orszak weselny, taki piękny, taki barwny. Mówiła o sukniach: bordo, śliwko- wych, niebieskich, „wieszaj by- strzejszych”, zielonych, noszonych przez przyprostynianki. O pannie młodej, ubranej w suknię „jak sobie myślała, jak która sobie ulu- biła”, i o druhnach w różnych ko- lorach i wiankach. O tym, jak to po wieczery przebrała się panna młoda, druhny i wszystkie gospo- dynie w białe suknie. Przy czym pierwsze, przewiązane wstęgą w pasie, a gospodynie w fartuchach różnobarwnych, obszytych koron- kami. Uczesanie gładkie, bo „jak



75-letnia Wiktoria Ślusarzewska ze wsi Przyprostynia, po- wiat Nowy Tomys

przedział nie w środku, to mo- krzywa twarz”.

Chłopcy chodzili wtenczas w czarnych „westkach”. Nad lewym łokciem mieli przewiązaną wstąż- kę różową, opadającą długimi ko- ncami, spodnie długie i trzewiki czarne.

STARE SZPARGAŁY

9 nazw jednej szkoły

Pierwszą poprzedniczką Uniwersytetu Poznańskiego była niewątpliwie Akademia Lubrańskiego, założona w roku 1519 przez zwolennika postępu, bpa Jana Lubrań- skiego. Miała ona 9 nazw. Nazywano ją bowiem: szko- łą, scholą (łac. schola — szkoła), Lubranscianum, ko- legium, gimnazjum, czasem muzeum i nawet mauzo- leum, neoakademią i akade- mią.

Na utrzymanie swojej szkoły Lubrański zapisał dobra Stawiszyn w powie- cie kaliskim. Poznań liczył wtenczas 25 tysięcy miesz- kańców. Uczelnia poznańska przeżywała później swoje dobre i złe lata. W roku 1780 Komisja Edukacyjna ją zamknęła.

- Woina jezuicko-krakowska

Malo kto wie, że w obec- nym gmachu wojewódzkim

przy placu Kolegiackim w Poznaniu 25 marca 1573 roku zostało założone przez jezuitów Kolegium, hojnie wyposażone przez bpa Ada- ma Konarskiego. Jezuiti za wszelką cenę starali się pod- nieść swoją poznańską szko- łę do godności akademii. Zygmunt III w roku 1612 dał już przywilej na wy- dział teologii i filozofii z prawem nadawania tytułów do doktorskich włącznie, ale Akademia Krakowska zło- żyła protest poparty przez sejm w r. 1613. Król jednak nie cofnął swojej decyzji. Akademia Krakowska in- terweniowała do papieża Pawła V, który zabronił je- zuitom otwarcia akademii w Poznaniu.

Jezuiti nie dali za wygra- ną. Przywilej wydostali od Jana III. Ale ucznia o swo- je interesy Akademia Kra- kowska dokonała tego, że przywileje król odwołał (1678). Kolegium przetrwa- ło do r. 1773, do kasaty zgro- madzenia jezuickiego. Po- siadało ono największy i najpiękniejszy gmach szkol- ny w Polsce, 13 nieruchomości w Poznaniu, 14 mająt- ków ziemskich i kapitały na majątkach ziemskich i na... synagogach (!). Bogata szko- ła — ale, niestety, służyła upowszechnianiu ciemnoty, a nie wiedzy.

Akademia wielkopolska

Kolegium ppezuickie je- szcze żyło 7 lat. Ostatni jej rektor — ks. Rogalski podpisywał się Rektor Aka- demii Wielkopolskiej, a sa- ma szkoła przybrała nazwę Akademii Poznańskiej. Komisja Edukacyjna tę szkołę (wraz ze szkołą Lu- brańskiego) zamknęła, a na ich miejsce założyła szkołę wydziałową (1780 r.). Przy- rządy astronomiczne i fizy- czne Jan Śniadecki i ks. Gawronski — zabrali do Krakowa.

DYSKUSJI CIĄG DALSZY

(Dokończenie ze str. 1)

stawia się w szacowny nurt tra- dycji. Ciśnienie doświadczeń współczesności zageszcza pro- blematykę obyczajowo-moralną; specyficzny jej wygląd i smak, konieczność nowych rozwiązań etycznych i w ogóle nowych pra- widel dla przebogatej tkanki życia powoduje głęboką zadu- mę pisarzy nad dotychczasowy- mi formami fabularnymi. Po- dobnie w nauce: wykrywanie i systematyzacja praw nowych dziedzin woła o odmienną apa- raturę pojęciowo-badawczą i nowe konstrukcje teoretyczne.

Jak ma wyglądać powieść dzisiejsza, aby stanowić mogła najlepsze naczynie estetyczne (wybaczenie trywialności termi- nu) dla współczesności? Czy szukać oparcia w konwencji wątkowej, czy w zakreślaniu rozległych przestrzeni epickich, o luźnych wzajemnych stykach, przestrzeni związanych raczej dźwiękami wspólnego tematu, niż skrzyżowaniami fabuły. Wydaje się pewne, że dążąc do oddania w słowie pisanym wart- kiego rytmu życia i przemian wołać będziemy o prozę surową, oszczędną, zwartą. Realizację tego zamiaru przesiedzić można na ograniczaniu, raczej kon- densacji, funkcji krajobrazu w powieści. Dawny, rozlewny opis wędrówki chmur po niebie, za- stępujemy klimatem sytuacji, wyrażonym w niewielu sło- wach. Jedynie wodolejcy i epi- goni Rodziewiczówny wierni są zasadom sprzed pół wieku.

Okres współczesny jest okre- sem poszukiwań pisarskich. Ba- lansowanie decyzji: jakich spo- sóbów użyć, wsuwać w ręce środki „neutralne”. Myślę o pu- blicystyce. Tej dobrej, świetnie zastępującej komentarz polity- czny z akcentami paszkwilu i diatriby („Wrzesień”), sła- biej — narrację („Obywate- le”), wreszcie godzącą nurt wół- kowy z obszarami epiki („Dzwo- ny” — Machajka). Dialogi He- mingway'owskie zawiodą na o- gół w przekładzie na język pol- ski ze względu na inne treści filozoficzne tkwiące w „pod- tekście” języka i inaczej uk- ształtowaną tamtą mowę po- toczną.

Bohater współczesny jest w gruncie rzeczy tragiczny, uwi- kłany w sprzeczności. Jeżeli heros klasyczny miał zazwyczaj jedną wielką alternatywę (drob- niejszych alternatywek życio- wych co najwyżej kilka): pa- ni Bovy tylko raz zdradziła z własnego wyboru — póź- niej kochankowie przechodzili sami, jak ómy do wypalonej świecy — nacisk gorącej sytu- acji dzisiejszej każe temu bo- haterowi decydować co krok i w tym procesie wzrastać lub karleć. Manifestacja przekory i rozzwieranie szat na owłosio- nej piersi pisarza? — Może. Na pewno jednak próba ukazywa- nia odpowiedzialności za czas, w którym żyjemy.

Dzisiejszy bohater stoi bli- żutko autora. Rozbudowa war- sztatu, udoskonalenie środków pisarskich, pozwalają na in- tymną zażyłość ich dwojga. Proust, France, zwłaszcza Do- stojewski stoją na zewnątrz serc swoich wybrańców, są o- biektami wstąpienia mimo wnikli- wych skądinąd, wielostronno- wych analiz psychologicznych. Nowy, ego Śczęsny uczył mą- drości i na odwrót. Wzrastali obaj. Wspaniała koegzystencja.

Bo też i metody artystyczne uległy głębokim przeobraże- niom. Tzw. mowa pozornie zależna rozrosła się w wielo- trzonowy i wielowarstwowy a- parat, skuteczne narzędzie sub- telnego analiz wewnętrznych. Nie tylko ona. Dialog uzyskał giętkość i sprężystość potocz- nego języka (Andrzejewski), narrację i komentarz pisarz współczesny podporządkowuje naczelnemu problemowi litera- tury: człowiekowi. I pisze nie o bohaterze. Bohater z dobrej, nowoczesnej powieści pisze o sobie słowami pisarza. Gdzieś tedy, jak sądzi, obok wybo- ru ogólnej struktury (konwen- cja wątków czy płaszczyzn epic- kich) i obok oszczędności stylu pódją uśmierzanie. Ale nie pro- kujemy dalej.

Czasy nasze służą pojmo- waniu problematyki moralnej. Trudnemu zadaniu wykrywa- nia form etycznych współżycia w społeczeństwie, uwolnionego od uciśku. Ale ponieważ kof- czyć wypada, dlatego zagadnie- nie to może przy innej okazji. Już na pewno nie przy okazji recydywy do wystawy miejsc- wych abstrakcjonistów, którzy na łamach prasy miejscowej przeżyli swój króciutki wiel- bohaterski.

Przemysław BYSTRZYCKI

Dr. Włodzimierz Krzyżaniak

JOT

NA SZLAKACH KOMET

Dość — zawołał nagle Dag Rossa, który dotychczas w milczeniu przysłuchiwał się okrzykom — dość, jako kierownik całej wyprawy odpowiem na to, cośmy przed chwilą usłyszeli.

— To nie humanitarne!! — krzyczał dalej literat. — Rzutujmy się! Natychmiast!

Dag Rossa podszedł do krzesła, obrócił je poręczą do siebie i oparł się o nią, patrząc w twarz Bowskiego, który znów wyrwał włosy.

— Nie jesteśmy wyprawą historyków, a jeżeli są między nami tacy... — szukał chwilę odpowiedniego wyrazu, patrząc w twarz Bowskiego, który znów wyrwał włosy.

Bara patrzyła na inżyniera. Dziwne, że dopiero dziś zwróciła uwagę na tego człowieka. Przecież to siła charakteru na dawała jego twarzy ten spiszony wyraz i chłodny blask spojrzenia, który ją onieśmielał i odpychał, zamiast budzić zainteresowanie.

Tymczasem Dag Rossa ciągnął dalej:

— ...to nie po to, aby nas pouczać o humanizmie. O tym chętnie usłyszeliśmy od takich ludzi, jak nieodżałowany Iwanow, ale niestety...

Dag Rossa zrobił krótką przerwę, a potem ciągnął dalej:

— Zarzuty są śmieszne, przecież podaliśmy do wiadomości przez radio fakt spalania powłoki statku, zniszczenia laboratorium i utraty łączności z Ziemią. Każdy sam musi wyciągać wnioski. Nie mówiliśmy o przyczynach awarii, bośmy ich nie wykryli. Stwierdziliśmy, że nie było błędów w obliczeniach trajektorii podróży. Fakt, żeśmy o trzy godziny za wcześnie weszli w górne warstwy atmosfery planety, pozostaje dla nas niezrozumiały.

— Może Wenus zmieniła orbitę? — złośliwie wtrącił Bowski — poruszając się na krześle.

— Proszę nie przerywać, teraz ja mówię — ostro uciął inżynier, a potem spojrzał na literata i parafrazując jego ulubione powiedzonko, dodał: — Są rzeczy, o których się nie śni filozofom. Być może, że Wenus zmieniła orbitę, ale o tym nie teraz. Również warunki fizyczne, jakie zastał na planecie i które uniemożliwiły nam prowadzenie badań, są wszystkim znane i nie wymagają komentarzy. A co się dotyczy pomocy z Ziemi, to jasne, że jeżeli nie przybyła ona dotąd, po zeszłorocznym górnym złączeniu obu planet, to znaczy, że istnieją inne, poważniejsze środki...

Bowski wzruszył ramionami.

— Mam tu na myśli — ciągnął dalej Dag Rossa — prace Ega Erivana i Sergo Rostowa, o których wiele mówiono w Leninopolis. Mam również powody przypuszczać, że prace te zostały przyspieszone.

— Oto właśnie chodzi! — uniósł się Bowski. — Znowu te niedomówienia, które powodują, że...

Dag Rossa przerwał, podnosząc głos:

— A co się dotyczy radiosygnarów, to w istocie od pewnego czasu aparaty kontrolne stosu atomowego rakiety odbierają jakieś nieznane impulsy. Dziś podjęliśmy prace wstępne przy instalacji zapasowej anteny teleskopowej, którą chronimy w magazynie, aby przy pierwszej wizycie latającego lasu nie uległa zniszczeniu jak poprzednia.

Dag Rossa przerwał i zapalił papierosa.

— Tak naprawdę wygląda sytuacja — dodał jeszcze, siadając na krzesło.

„Chyba nie kłamie — myślała Bara, patrząc jak zahipnotyzowana w pociągłą twarz inżyniera — widocznie również ulega panicznym nastrojom, które nosicielem jest Bowski.“

— A jeśli chodzi o to „trzęsienie ziemi“ — nagle posłyszła łagodny głos profesora Rigo Watta — to podejrzenia i domysły kolegi Bowskiego są śmieszne. My przyrodnicy nie możemy niczego powiedzieć o działalności w naszym otoczeniu istot żyjących, chociażby dlatego, że w tym nie ma białka.

ODCINEK DRUGI

Wyprawa kosmiczna wylądowała na globie Wener. Rakie ta z nieznanym przyczyną zbyt wcześnie znalazła się w orbicie przyciągania niegospodniej planety, co stało się przyczyną wielu komplikacji, a przede wszystkim unieruchomienia statku kosmicznego. Odważnych podróżników ogarnia zmartwienie. Co prawda wiadomo, że Ziemia drogą radiową — lecz zapasy tlenu starczą tylko na dni. Jednym z najbardziej ulegających nastrojom paniki jest literat Bowski...

Profesor sięgnął do kieszeni i wyjął znane zawiniątko i kończył: — To mogą być kryształ soli amonowych, sam zresztą dobrze nie wiem, co to jest, ale nie są to organizmy żywe w ziemskim rozumieniu.

— Obojętnie jak to nazwiemy — znów odezwał się Bowski. — Zgadza się, że to kryształ porwały Jaka Iwanowa i podkopały się pod naszą rakietę. Nas obchodzi tylko fakt, że jesteśmy bezbronni wobec niebezpieczeństwa. Musimy coś zrobić!

Watt rozłożył ręce i uśmiechnął się, błyskając wesoło okularami.

— Zatem gdybyśmy poświadczili swoim autorytetem, że to jakiś tajemniczy potwór wykopął korytarz pod naszym statkiem, wówczas zdaniem kolegi niebezpieczeństwo byłoby mniejsze?

Wszyscy roześmiali się. Cicho, o aksamitnym brzmieniu głos profesora podzielał na zebranych uspokajająco. Ali Keer powoli powstał i podszedł do laboratorium, aby przed snem wywołać jeszcze zdjęcie widma płonącego lasu. Potem Izo Eiro, pokpiwając z podziemnego smoka, zaczął opowiadać swe przygody z podróży, jaką odbył w czasie ostatniego urlopu, z ojcem kapitanem na statku wielorybniczym w Arktyce.

Bara z prawdziwą przyjemnością słuchała słów młodego nawigatora. Budziły one w niej dawne wspomnienia.

Po kolacji, która odbyła się w nieobecności Keera i Watta, Bara udała się do swej kabiny. Zastąpiła okno. Zapaliwszy światło, wzięła książkę.

Pierwsze strony powieści przeniosły ją na Ziemię. „Marzenia są najdoskonalszym statkiem kosmicznym“ — pomyślała i przyniknęła powieki. Ujrzała przed sobą Wartę, szerokim łukiem obejmującą nizinne łąki, dalej znajome wzgórza, na których białe domki jej rodzinnego agrokombinatu Goralina. Gdy była jeszcze dzieckiem, bawiła się wśród tych łąk i rozlewisk w cieniu starych dębów i wilgotnych olchowych zagajników. Ale ostatecznie od czasu, gdy stopiono lody biegunów nie poznała swej wsi. Na wzgórzach biegły ku rzece plantacje krzewów bananowych i pomarańczowych. Tak dziwnie było w grudniowe popołudnie, gdy słońce zaledwie wznosiło się nad najwyższe budynki, kąpać się w ciepłej, jakby ogrzanej rzece. Później zaczęła myśleć o ojcu, starym agronomie, który być może teraz pochyla się nad biurkiem i segreguje ziarna jakichś egzotycznych roślin.

Nagle uświadomiła sobie, że od tej najbliższej dla niej istoty dzieli ją odległość trzystu milionów kilometrów, otrząsnęła się i otworzyła oczy. Ujrzała Tinę, z którą dzieliła kabine, pochyloną nad sobą.

— Myślałam, że śpisz — odezwała się przyjaciółka.

— Skąd się wzięłaś? Nie słyssałam jak wchodziłaś.

Tina usiadła w nogach Bary i milczała chwilę. Bara obserwowała jej wymierzowaną twarzyczkę o dużych, wyastycznych oczach i wąskich ustach, obramowaną czarnymi, wijącymi się włosami.

— Czy wierzysz jeszcze w pomoc Ziemi — posłyszała głos Tyny.

— Myślę, że Dag Rossa nie miałby powodu, aby nas zwodzić, odpowiadała, wahając się Bara.

Tina milczała.

— Wiesz — zaczęła wresz-

cie — ciągle myślę, że śnię. Wolę chyba całe życie spędzić w kopalniach księżycowych. Na księżycu przynajmniej widać Ziemię i Słońce. Tutaj tylko te posępne chmury.

Bara milczała.

— Co powiesz na tę wzmiankę Dag Rossy, że Wenus być może zmieniła orbitę. Przecież to nonsens!

Bara zaskuterowana siłą prze mówienia inżyniera, nie zwróciła na ten szczegół uwagi. Jasne było, że Dag Rossa przeholował, a to osłabiało wagę wszystkich jego argumentów. Zaskoczona tym spostrzeżeniem, nie wiedziała co ma odpowiedzieć koleżance.

— Widocznie był błąd w obliczeniach — odezwała się wreszcie. Poczula, że ostatnie nadzieje przyskają jak mydlana bańka.

(Ciąg dalszy za tydzień)

Wł. Scisłowski

PIGUŁKI

W teatrze — komedia najczęściej kończy się małżeństwem. W życiu — się zaczyna.

Kobieta zawsze się stroi. Naga — stroi się w skromność.

Cnota jest najpiękniejszym klejnotem kobiety. Nie wszędzie jednak kobiety noszą klejnoty.

RYСУNKI BEZ SŁÓW

HENRYKA DERWICHA



Anegdoty o genialnym kompozytorze

KTO ZA WIELE PYTA...

Pewien młodzieniec pytał Mozarta, jak należy komponować symfonie. Kompozytor nie chcąc być niedelikatnym odpowiedział grzecznie:

— Drogie panie, jest pan jeszcze bardzo młody. Dlaczego pan nie zaczyna komponować rzeczy lżejszych, np. pieśni?

Młodzieniec przykro dotknięty rzekł:

— Ależ mistrzu! Pan zaczął komponować swoje symfonie, gdy miał dziesięć lat!

— To prawda — odpowiedział z uśmiechem Mozart — ale ja nie pytałem nikogo, jak mam to robić...

PANI DE POMPADOUR NIE POZWOLIŁA

Jako siedmioletni chłopiec Mozart był przedstawiony austriackiej cesarzowej Marii Teresie. Wskoczył jej na kolana i pocałował. Za to cesarzowa obdarowała go wspaniałymi ubraniami. Gdy po roku w Paryżu został przedstawiony markizie de Pompadour, również chciał ją pocałować. Gdy markiza bronila się, mały Mozart rozgniewany krzyknął:

— Przepraszam was, cóż to za kobieta, że nie chce mi dać całusa? Przecież w zeszłym roku pocałowała mnie pani cesarzowa!

MUZYKA ZEPSUŁA

Gdy Mozart komponował swoją operę „Flet zaczarowany“, bardzo często nie godził się ze swoim librecistą Schikanederem, który tylko po długich utarczkach odstępował od swojego zdania. Gdy jednak opera zaczęła się cieszyć zasłużoną sławą i popularnością, Schikaneder sarknął zgrzyliwie:

— A podobają się jeszcze bardziej, gdybyś mi Mozart nie fałszował jej swoją muzyką!

PLAGIATOR

Na chórze jednego z wiejskich kościołków wszedł w swą wędrowcę jakiś cudzoziemiec. Zdziwił się, gdy usłyszał, że jako wstawki przy mszy organista gra arie z oper Mozartowych.

— Czyż to kompozycje? — zapytał organista.

— Moje! — odpowiedział wyniośle wiejski muzykant.

— Tak? — pokręcił głową cudzo-

Opowiastki niepedagogiczne

ODCIAŻENIE

Staszek trzasnął drzwiami, rzucił w kąt tekę i głośno westchnął:

— Całe szczęście, że już po wszystkim!

— Nie trzaskaj drzwiami. Nie widzisz, że nowy dom i może się rozlecieć — zauważyła żona. — I nie niszczył teki. Co roku nie będę ci nowej kupować. Dlaczego tak późno?

— Miałem sześć lekcji i trening. Na przyszły rok, jak wprowadzą znowu Przysposobienie Sportowe, to będę też chodził po południu.

— Kto wprowadzi? — zdenerwowałem się z gazety.

— Pan od wufu mówil, że znowu będzie. Pisali też o tym w „Przeglądzie Sportowym“. Stale w tych gazetach siedzisz

i nigdy nic nie wiesz — zreplikował ironicznie.

— Po pierwsze jesteś smarkacz, a po drugie mógłbyś chociaż matce powiedzieć, o której wrócisz. Pracuje przecież i musimy się też do niej stosować.

— Owa! Pięć godzin pouczy i do domu. A ja po sześć się męczę. Janek, ten spod dwójki, to ma nawet po siedem, bo oni mają PW. Ja na przyszły rok też będę miał. A jeszcze Pees dołoża...

— Nic nie dołoża — uspokoiłem nalewając zupę. — I nie gładź o przemęczeniu. Jak zacznieś pracować...

— ...to będę miał czas na czytanie gazet, tak jak wy — prze-rwała niesforna latorośl. — A teraz to razem wracamy, al-

bo ja później i muszę jeszcze bębnić lekcje. Pan na lekcji wychowawczej powiedział, że na odrabianie zadań trzeba przeznaczyć dziennie 4 godziny. Sześć plus cztery to jak uciąć dziesięć. I jak tu nie mówić o przemęczeniu.

— Przecież już odciażyli... — zacząłem.

— ...tak, nauczycieli. Ale o nas to zupełnie zapomnieli. Za to wymagania podwyższyli. Jakby uczeń nie był od czasu do czasu człowiekiem. Nie ki-jem to pałą! — zakończył nieoczekiwanie.

Mięso stanęło mi w gardle i... zamilezałem.

Co tam dużo gadać — smarkacz miał wyraźną rację. Nawet uczeń jest człowiekiem.

KLASOWE PODEJŚCIE

żytych Egipcjan był Ho-

mer... — Skąd to wzięłaś młodzieńcze? — tu wskazałem palcem delikwentowi zacytowany u-

step. — To! pomyliło mi się trochę... ale za to patrz, co pisze dalej... i jednym tchem wyrecytował:

„Państwo egipskie powstało jako aparat ucisku klasowego ubogich chłopów i niewolników przez arystokrację, czyli tak zwaną egipską burżuazję...“

— To się nazywa mieć klasowe podejście! No nie?

Kilka linijek niżej nad falistą linią czerwieniał następujący casus:

„Egiptem rządził Koń Trojański, miał on władzę absolutną...“

— A ten koń jak tu wylądował?

— Koń? Pokręciły mi się trochę fakty. Któż zapamiętałby i zrozumiał te wszystkie nazwy? Ale przeczytaj tylko jak dobrze ocenilem istotę walki klasowej...o tutaj! — i z przejęciem przeczytał:

„Walka klasowa na terenie starożytnego Egiptu przy-bierała na sile w miarę wzra-

stania świadomości chłopów i niewolników. Liczne powstania podrywały podstawy ustroju niewolniczego...“

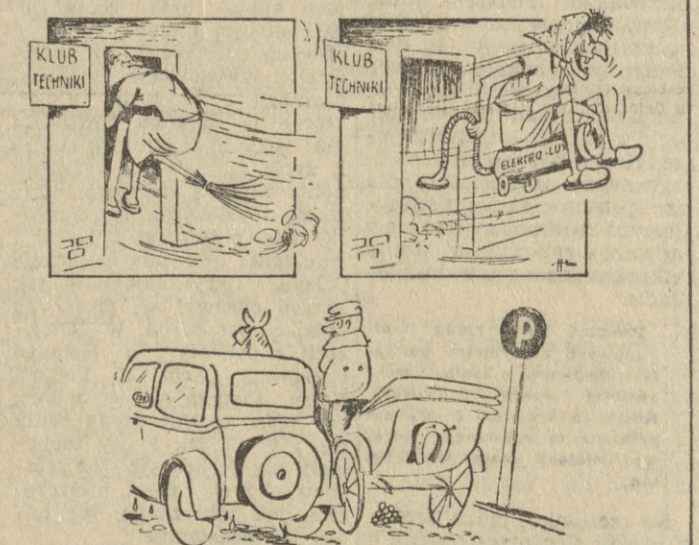
— No tak! Ale tu przecież nie ma żadnych wiadomości, przecież ty nie konkretnego nie umiesz?

— Wiadomości? — zdziwił się synalek. — A od kiedy ich zaczęli wymagać? Sam przecież mówisz, że chodzi przede wszystkim o klasowe podejście! Zresztą tego wszystkiego sam mnie nauczyłeś!

— I o koniu trojańskim! — wykrzyknąłem w rozpacz.

— O koniu nie, bo nie starczyło czasu, ale reszty... powiedziałeś, że już jest późno i muszę iść spać, a zresztą historię rozumiem.

Zaniemówiłem. A następnego dnia idąc na lekcje zamiast podręcznika wzięłem tekst „Iliady“. Pal diabli program wymagający od dzieci tego, czego ja uczyłem się dopiero na studiach.



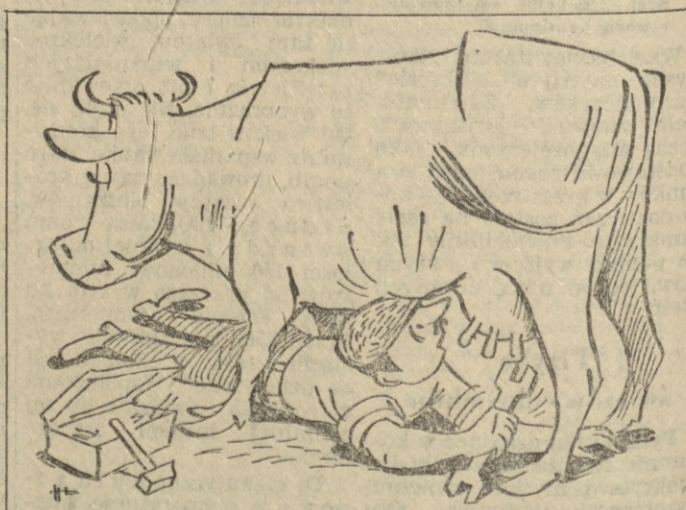
— Możecie wychodzić, pies już sobie poszedł.

Według NBI

Dozorczy zapominają często o wysypywaniu piasku w czasie gołoledzi.



— Ile jest stopni?
— Dwaściecia...
— Zimna??
— Nie, schodów!!!



— Nie nie rozumiem. Przecież w POM-ie wyraźnie powiedziano, że trzeba coś naprawić w spółdzielczej dojarce.

Według NBI